

Agnieszka Antoniewska

Gram tam, gdzie mnie zapraszają. Dlatego częściej występuję za granicą. Właśnie wróciłem z zespołem z trasy koncertowej po Australii i Nowej Zelandii. W trio zagrali ze mną Michał Barański na kontrabasie i Grzesiek Grzyb na bębnach.

W zasadzie można by powiedzieć, że moja trasa zaczęła się 7 marca w Mexico City – wystąpiłem tam solo ze swoimi mazurkami na Eurojazz Festival, gdzie grali też między innymi Bobo Stenson i Jorge Pardo. Spotkałem się ze świetnym przyjęciem, koncertu wysłuchało 3000 osób. W Meksyku zagrałem także w stolicy czekolady, Oaxace.

Do Ameryki Południowej wróciłem w maju z solowymi koncertami w Brazylii. Później były recitale w Portugalii i na Litwie. Zanim z triem dotarliśmy do Australii, daliśmy dwa koncerty w Indonezji, gdzie muzyka jazzowa cieszy się teraz dużym zainteresowaniem: w Jakarcie w centrum sztuki współczesnej, Salihara Theater, oraz na Bali w orientalnej scenerii nad samym morzem.

Przygoda na Antypodach zaczęła się od tego, że dwa lata temu napisał do mnie znany promotor jazzu z Sydney, Peter Rechnerowski,

właściciel klubu Foundry 616, z propozycją trasy koncertowej po Australii. Zaraz potem dostałem oficjalne zaproszenie od dyrektora Melbourne International Jazz Festival. Wtedy nie udało się z tego skorzystać, bo trudno było znaleźć wsparcie w Polsce na pokrycie kosztów części przelotów. Ale rok później, po otrzymaniu kolejnego zaproszenia, udało się. Moja żona Hania, nasz menedżer, nawiązała współpracę z organizatorami największych festiwali jazzowych i zagraliśmy jeszcze w sześciu innych miejscach. Ich szefowie w Melbourne, Perth i Wellington to jazzowi pianiści, dlatego wiedziałem, że moją muzykę oceniają fachowcy i poziom artystyczny jest jedynym kryterium wpływającym na ich decyzję.

Występ w Adelajdzie w Brighton Concert Hall zorganizowała z pełnym poświęceniem Konsul Honorowa RP, Pani Gosia Hill. Doszedł jeszcze koncert na festiwalu w Brisbane w Instytucie Jazzu i trasę zakończyliśmy 7 czerwca w Wellington w Nowej Zelandii.

Program naszych koncertów stanowił materiał z ostatniej płyty „Prana”, na bis graliśmy utwory Hendrixa albo Niemena, szczególnie jeśli na widowni obecni byli polscy słuchacze. Występowaliśmy i na większych scenach, i w klubach.

Przygotowanie całej trasy było niezwykle wyzwaniem dla mojej żony, która wykonała tytaniczną pracę – Australia to zupełnie inny rynek. Nasza muzyka została pozytywnie i serdecznie przyjęta. Publiczność wrażliwa, otwarta, skupiona i żywiołowo reagująca na każdy niuans płynący ze sceny. Nie trzeba było przełamywać lodów. Wszędzie były komplety, owacje i bisy. A w Perth, Adelajdzie i Sydney czuliśmy jakby opiekował się nami nasz fanklub!

Grzesiu Grzyb, czyli Gregory Mushroom, na zakończenie koncertu w kultowym miejscu, Bennett's Lane w Melbourne, zagrał takie solo, że pękły mu spodnie, dlatego na koniec nie mógł się uklonić. Nie wiedząc o tym, wyciągnąłem go zza bębnów, a spodnie spadły prawie do kolan.

Finał koncertu był przezabawny. Grzesiek wyjechał na prawie miesięczną trasę z małą sportową torbą, w której miał pałki, podstawowe kosmetyki i skromny zestaw odzieży, który prał sobie co kilka dni. Być może dlatego podczas odprawy na jednym z restrykcyjnych lotnisk australijskich został poproszony do kontroli osobistej, bo bez dużego bagażu wyglądał dla nich podejrzanie. Gdy wyjaśniłem im, że Grzesiek jest muzykiem jazzowym, wszyscy wykazali duże zrozumienie.